

NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do Głosu Wąbrzeskiego

Nr. 42

Wąbrzeźno, sobota 17 października 1925

Rok 2.

Ewangelja

św. Jana rozdział 4, wiersz 46 — 53.

Onego czasu był niejaki królik, którego syn chorował w Kafarnaum. Ten gdy słyszał, iż Jezus przyszedł z Judzkiej ziemi do Galilei, poszedł do Niego i prosił Go, aby wstąpił, a uzdrowił syna jego: bo poczynął umierać. Rzekł tedy do niego Jezus: Jeśli znaków i cudów nie ujrzyście, nie wierzycie. Rzekł do Niego królik: Panie, wstąp pierwej, niż umrzesyn mój. Rzekł mu Jezus: Idź, syn twój żywy jest. Uwierzył człowiek mowie, którą mu powiedział Jezus i poszedł. A gdy już wstępował, zabieźeli mu słudzy i oznajmili, mówiąc; iż syn jego żyje. Pytał się tedy od nich godziny, której mu się polepszyło. I rzekli mu, iż wczoraj o siódmej godzinie opuściła go gorączka. Poznał tedy ojciec, iż to ona godzina była, której mu rzekł Jezus: Syn twój żyje! I uwierzył sam i wszystek dom jego.

Nauka z ewangelji.

Co spowodowało owego królika, że szukał Chrystusa?

Urzędnik ten królewski, zwany w ewangelji królikiem spowodowany chorobą swego syna, a słysząc o cudach, jakie Jezus czynił, wyszedł naprzeciw Niemu z prośbą o uzdrowienie mu syna. Otrzymał on przez to dla siebie i domu swego prawdziwą wiarę w Chrystusa. W ten to sposób zwykł Bóg zsyłać na grzeszników, ich dzieci, dobra i bydło kłeski, ażeby ich nawrócić. Dlatego to mówi Dawid: „Dobrze mi, iżś mnie uniżył, ażebym się nauczył sprawiedliwości Twoich“. (Psalm 118, 71.) Dawid prosił dlatego Boga, ażeby napelnił łaską grzeszników, iżby imienia Jego szukali. (Psalm 82, 17.)

Wydarzyło się to onym, o których tenże Dawid także mówi: „Rozmnożyły się niemoce ich, potem się kwapili“. (Psalm 15, 4.) Obyśmy to samo czynili! Jeżeli Bóg spuszcza na nas kłeskę nieurodzaju, powodzi, gradu, drożyzny, wojny, to chce nas przez to zniewolić do porzucenia grzechów i zwrócenia się do Niego. Ale cóż my robimy? Zamiast kwapić

się, t. j. spieszyć do Niego, uciekamy się do zabobonów i szemramy przeciw Bogu, ganimy i bluźnimy przeciw Jego świętym zrzadzeniom; zamiast grzechy nasze przez prawdziwą pokutę zmazać, popelniamy nowe grzechy, szemrząc i niecierpliwiać się, zdrożne wydaje sądy, jakoby nieszczęściu naszemu winna była niesprawiedliwość i złość innych ludzi. Jakżeż większe nieszczęścia będzie Bóg musiał na nas zesłać, jeżeli ani dobrodziejstwami ani karami naprawić nas nie może.

#####

Czego pragnę.

*Pragnę, żeby Pan Bóg dobry
Dawał zawsze urodzaje
I oddalał od nas wszystko,
Co niekiedy zły czas daje.*

*Pragnę, by nam szczęścił w pracy
W naszych chatach i na roli,
By udzielał sił i zdrowia,
Od nieszczęsnej chronił doli.*

*Pragnę, aby na pociechę
Krzepko rosła dziatwa hoża,
Aby chlubą była nasza,
By jej strzegła laska Boża.*

*Pragnę, żeby wszyscy ludzie
Nie wiedzieli, co zmartwienie,
Lecz w spokoju czcili Boga,
Co nam daje życie, mienie.*

*Przedewszystkiem jednak pragnę
Sercem całym, duszą tkliwa,
By ojczyzna, którą kocham,
Była dzielną i szczęśliwą.*

*Aby się w niej dobrze działo,
By nie myślał nikt o szkodzie,
Aby wszyscy pracowali
Nad jej szczęściem w bratniej zgodzie.*

*By nam z pod nóg nie znikala,
Jak jesteśmy Rodakami,
By ją zdobił blask i chwala
Jako ongi przed wiekami.*

Na dnie Wisły.

POWIEŚĆ

Z PIERWSZEJ POŁOWY XIX STULECIA

4)

„Te część brzegu Wisły, siedząc w gospodzie, opisaliśmy na trzech kawałkach papieru i każdy z nas wziął z sobą jeden taki opis, ażeby dokładnie można było wiedzieć, gdzie skarb rzucony został. Opis skrzyni żelaznej, ważącej kilka centnarów, również sporządziliśmy i również każdy z nas odpowiednią kopję otrzymał.

„Roberta musieliśmy zostawić w gospodzie, gdyż dalej w tej wyprawie udziału brać nie mógł, sami zaś postanowiliśmy tej nocy na zamrzniętą powierzchnię rzeki wjechać i skarb w umówionem i tak dokładnie opisanem miejscu wrzucić.

„Jakoż spostrzegłszy, że gospodarz karczmy, żyd jakiś, niespokojnie zaczął nam się przyglądać, wyszliśmy z Janem Hogartem i zaprzęgnięszy do wozu, ruszyliśmy drożyną zaśnieżoną nad Wisłę.

„Noc była księżycowa, jasna, lecz nie mroźna. Rozgrzani polewką winną, siedząc na wozie, spoglądaliśmy z otuchą na bezbrzeżny horyzont i śnieżny obszar pól i łąk, ponad którymi iskrzyły się gwiazdy i świecił księżyc.

„Postanowiwszy rzucić skarb do macierzy rzek naszych, uczuliśmy w sercu ulgę: ciężar wielkiej odpowiedzialności już nas nie gniótł, za chwilę będziemy swobodniejsi, będziemy mogli odetchnąć swobodniej, bo spełnimy ciężki obowiązek, który na nas losy wojny włożyły.

„Dojeżdżaliśmy właśnie do brzegu rzeki, gdy od strony karczmy doleciały nas gromkie okrzyki. Po chwili rozległ się tętent kopyt końskich i w oddali ujrzeliśmy czarną jakąś masę, a się ku nam niezmiernie szybko.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — pomyślałem, — czy to czasami nie ta sama zbrojna zgraja, która nas gonila cztery dni temu?...

| Boże, ratuj — dodał, schodząc z wozu i na drodze Jan Hogart.

— Co czynisz? — rzekłem masz odmrożone ręce, nie tobie się bronić, biedaku, ani walki staczać...

— Nic to — odrzekł mi — skarbu im nie damy... Ty Macieju jedź na środek rzeki i rzuć w ów wir, któryś obrali, skrzynię ze skarbami, ja ich tu tymczasem zabawię.

— Na Boga, co chcesz czynić? — pytam.

— Mówię ci, jedź, niech ci Bóg pomoże! —

„Nie było się co namyślać, każda chwila znaczyła wiele... Ciemna masa zbliżała się do nas z każdą chwilą, przyczem już słyszeć było wyraźne krzyki: Postój!... El postój! Wydobylem z wozu ze słomy króciąc nabitą świeżo i rzekłem, oddając ją Janowi:

— Pal, jak w świecę, gdyby mnie mieli na rzece dogonić... gdybym skarbu przed ich przybyciem nie zdążył w wodę wrzucić...

„On nie nie odrzekł, wziął tylko broń w o-

bie ręce i poprosił, ażeby mu kurki odwiódł i kapiszony na brandkach opatrzył. Biedak, miał kilka palców odmrożonych...

— Bądź zdrów, Macieju! — rzekł, owijając się w kożuch i postępując naprzeciw zbliżającej się do nas zgrai.

— Bądź zdrów, drogi towarzyszu! — odrzekłem i popędziłem szkapę, ażeby co prędzej znaleźć się pośrodku rzeki.

„Dobrej sprawie widocznie Bóg pomagał, bo na lód nadbrzeżny wjechałem szczęśliwie, czując, że już mam pod stopami koryto rzeki. Przystanąłem w tem miejscu, gdzieśmy wczoraj postawili wiechę niewielką ze słomy, chcąc się przekonać, co się na drodze dzieje. Zbrojna wataha już była blisko Hogarta... Co to byli za ludzie?... Bez wątpienia ei sami, którzy nas przed kilku dniami napastowali. Skąd ta przeciw nam zawziętość, ten pościg niespodziewany? Przecież w przebranych w wieśniackie kożuchy, nie mogli rozpoznać kawalerzystów wielkiej armji? Więc chyba zdrada?... To było prawdopodobnem. Nietylko my trzej, wiedzieliśmy o skarbie, lecz i przyboczni marszałka Mortier'a. Kto wie, czy właśnie który z nich nie zdradził tej wielkiej tajemnicy?... Lecz dzięki Bogu, uż zapóźno!... zapóźno!... Już go nikt nie dostanie w swe ręce, nikt oprócz cesarza... Nasza Wisła wkrótce weźmie w swą potężną opiekę skarb walecznego korpusu, najgłębszy, jej wir pochłonie go, aby przechować do czasu, gdy bezpiecznie będzie mógł wrócić w prawe ręce...

Mróz skrzypiał pod kopytami koni, przeciwległy brzeg rzeki czernił się gdzieśgdzie kępami wierzb i po przez sam środek rzeki toczyły się fale Wisły z cichym szmerem, szumem

kiedy niekiedy tajemniczym pluskiem; nieco zaś dalej wir wydawał głośniejsze łopotanie i wzburzona fala groźniej warczała. Prąd wody, przeciał w tem miejscu lód już nieco od słońca skruszony i unosił zwyczajnie olbrzymie kawały kry... hen, aż ku Bałtykowi. Do tego wiru zbliżałem się, popędzając konie, gdyż i tak straciłem chwilę dla przekonania się, co porabia, Hogart. W tem huknął wystrzał jeden i drugi rozległy się wrzaski.

— Złe! — pomyślałem — to Hogart strzelał, a teraz to wyje ta zgraja i tętent tuż... tuż... Jezus, Józef, Marya!... Za chwilę będą przy mnie i skarb wpadnie w ich ręce... Nie, nigdy!

„Wstrzymałem konie, przeżegnałem się, odprzągnęłem siwego i pozostawiłem przy wozie tylko gniadą szkapę, wielce płochliwą. W mgnieniu oka wyjąłem hubkę, skrzesalem ognia i podpalilem słomę na wozie, krzyknawszy przeraźliwie. Gniady, jak szalony skoczył naprzód, zląklszy się płomieni, które za nim buchnęły ku górze, okrywając na chwilę i jego i wóz obłokiem ciemnego dymu. Nasłuchiwałem. Rozległ się wkrótce plusk i rozpędzony koń wraz z wozem zniknął w chłodnych nurtach Wisły. Dym jednak błakał siętu i ówdzie ponad falami, tworząc węzowe sploty i przybierając dziwaczne kształty, aż wreszcie mroźny powiew wiatru porwał go i uniósł w dal śnieżną... Stało się! skarb spoczywał na dnie Wisły w miejscu tak bezpiecznem, jakby przez siły wyższe został rzu-

cony na księżyc lub słońce.

„Zanim ujechałem kilkadziesiąt staj, siadłszy na siwosza i zanim zdążyłem ochłonąć, już otoczyło mnie kilkunastu zbrojnych ludzi, pytając gdzie wóz? Przeżegnałem się mówiąc, że wpadł do rzeki wraz z koniem... Niechże go sobie szukają... Wisła dobrze ochroni powierzone sobie skarby...

W tem miejscu dokument znowu był niewyraźny. Pan Mateusz przerwał czytanie i zamyslił się.

— Wszystko to jest nadzwyczaj ciekawe — rzekła Jadzia.

— Tem ciekawsze — mówił Janek — że prawdziwe. Zdawałoby się, że to jakaś fantastyczna opowieść, gdyby nie powaga tego dokumentu.

— Wielki Boże!... takie skarby! — mówiła klucznica, podnosząc ręce do góry. — Zawsze to prawda, co ludzie mówią, że tam w zamku duchy się ukazują, juźcić są one zmarłych kasztelanów, a strzegą skarbów niezmiernych...

— Ależ te skarby są przecież na dnie Wisły, — tłumaczyła Jadwinia.

— Ze tamte są na dnie Wisły, to prawda ale i w zamku muszą być nie małe... Oho! już ludzie prawdę mówią...

— Ta prosta uwaga zbudziła z zadumy pana Mateusza.

— W zamku skarby... kto to wie — rzekł — musimy tam jutro lepiej poszukać... dziś już zapóźno...

— Tembardziej — rzekła żywo Jadzia — że nikt ich stamtąd nie wykradnie, bo sowy i i puszczyki strzegą ich zazdrośnie...

— No i duchy dawnych wojewodów — do dała staruszka, która wierzyła zabobonnie w dusze pokutujące — jęczą one tam wśród ruin,

jęczą... Raz organście z Motowidła o mało głowy nie urwały.

— Organście z Motowidła? — machinalnie zapytał pan Mateusz, poprawiając na nosie okulary, ażeby dalej czytać ważny dokument.

— A juźci organście... Wracał z odpustu i coś go zamiast koło góry zamkowej, na górę zaciągnęło...

— Ale czy co, czy kto go zaciągnął? — spytała Jadzia.

— Tego on nie wie, to tylko pewna, że go za głowę ciągnęło... i że w ruinach ludzие go znaleźli śpiącego...

— E... e.... mościa dobrodziejko... — rzekł na to z uśmiechem pan Mateusz — organista dobry człowiek, ale jakto mówią, poczęstunku za kołnierz nie wyleje, więc nic dziwnego, że go później zle pó górach zamkowych za czuprynę oprowadza...

— Ależ dziadziu, organista z Motowidła n ma czupryny... Przecież jego łysina wesz w przysłowie... Łysy, jak Roch z Motowidła. a mówią ludziska.

Srebrzysty śmiech Jadzi rozległ się w rokoju.

— Prawda, zapomniałem — odrzekł pan Mateusz. — E, bo co tam moja pani, znowu o tym tchórze Rochu wszechynać dyskusję.

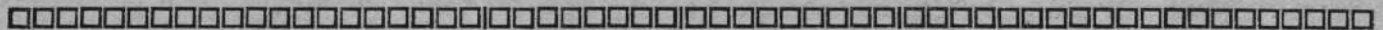
— Ja umieram z ciekawości — zaczęła Jadzia poważniej.

— I ja — dodał brat.

— Ciekawość ciekawością, a organista Roch na wisrę zasługuje — rzekła staruszka nieco zadąsana.

— Toć prawda — mruknął pan Mateusz i dalej czytał gdy Jadzia, jak motyl uwiesiła się u ramienia i przechyliwszy główkę, zaglądała w poźółkły rękopis.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ROZMAITOŚCI.

Z handlarza niewolników pastorem.

Tymi dniami obchodzono w Anglii 200-tną rocznicę urodzin Johna Newtona bardzo znanego poety i popularnego twórcy pieśni kościelnych, które w Anglii najczęściej śpiewają. Ten pobożny i poetyczny proboszcz miał młodość bardzo burzliwą, spędził on bowiem pierwszą połowę swego życia jako chłopiec okrętowy później został sternikiem, zdezertował każano mu zakosztować kary cielesnej przy pomocy 9 ogniastego „kota“ rodzaj nahajki angielskiej i zaangażował się na okręt który transportował niewolników. Handel niewolnikami spodobał mu się bardzo i uprawiał go przez kilka lat. Odznaczał się przytem niezwykłą srogością, okrucieństwem i nawet zbrodniczością.

Pewnego razu wybuchła na okręcie burza. Wszyscy potonęli, a on sam jakby cudem wyszedł z niebezpieczeństwa. — Wówczas wszedł w samego siebie i postanowił zmienić całkowicie życie. Pewnego razu stawił się przed arcybiskupem Jorku z prośbą o przyjęcie go do seminarjum duchownego. Kilka lat musiał błagać, nim zadóśuczyniono jego prośbie. Gdy skończył se-

minarjum, został wikarym w miejscowości Olne a później w Londynie, gdzie się odznaczył nie zwykłą pobożnością i świątobliwym życiem. U marł mając lat 82.

Przykład handlarza niewolników, który pod wpływem wyrzutów sumienia zmienił życie, nie jest odosobniony. Arcybiskup z Canterbury, nazwiskiem Blackburne był też w swoim czasie oławionym rabusiem morskim. Po przepędzeni burzliwych lat szkolnych w Cambridge ukrad nauczycielowi skrzypce, zarabiał w Londynie jako muzykant uliczny, zaciągnął się na okręt i stał się handlarzem niewolników, a przytem niezmiernie zuchwałym piratem. Wrócił jednak do Londynu, oddał nauczycielowi skrzypce w srebrnym pudle i poświęcił się służbie Bożej.

Dwa podobne, chociaż nie tak jaskrawe wypadki nawrócenia się zna jeszcze dzisiejszy Londyn. Cieszy się obecnie w Londynie niezwykłą sławą jako kaznodzieja niejaki ks. Billusunday. Był on jeszcze parę lat temu jednym z najdzielniejszych footballistów, który pobijał wszystkie rekordy. Nagle przerzucił się do stanu duchownego, w którym dopiero czuje się dobrze. Drużym nawróconym jest Gipsy Smith, który ujrzał światło dzienne w namiocie cygańskim,